Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 43. Poznań dnia 21. Stycznia. **1839.**

Literatura zagraniczna.

Żurnale większe francuzkie i Revues.

(Dokończenie.)

Dla Francuza to tylko jest ważne, co się z obecnością wiąże. Pytanie o absolutnéj idei, o wartości rzeczy oderwanéj, która Niemców tak bardzo zatrudnia, wcale go nie obchodzi. Dla niego świat cały o tyle tylko jest ważny, o ile mu może być pożyteczny, a ten jest w jego oczach najmędrszym, kto najkorzystniejsze zastósowanie z odkrytych prawd dla siebie i towarzystwa ludzkiego uczynić umie. Czyli on bada odwieczne prawa przyrodzenia, czyli tajnie serca ludzkiego, nigdy nie traci z oczu człowieka. Klassyfikując niepojętą liczbę istot żyjących i martwych, ogląda się na towarzystwo ludzkie; rozkładając ciała na swe pierwiastki i wykrywając ich rozmaite stósunki, czyni to także przez wzgląd na potrzeby i żądze człowieka. Nauka sama, jako nauka, ma u niego znaczenie, ponieważ nabył tego przekonania, że każda prawda prędzéj, czy późniéj otwiera źródło krajowych bogactw. Do wyższego stanowiska uniwersalnych widoków, idealnych pojęć niemieckiéj filozofii i poezyi nie łatwo się wznosi: wielcy nawet mężowie, którzy się do nich wznieśli, wcale się z tem nie wydawają, będąc nadto u siebie przekonani, że owe uniwersalne widoki, jako ogólnik abstrakcyjnéj wiedzy, służący nam za normę w sądzeniu o rzeczach, niekiedy postępowi nauk i ulepszeniom towarzyskim widocznie na zawadzie stoją. Gdy przeto koryfeje nawet w naukach tak umiejętnie życie i jego potrzeby uwzględniają, cały więc naród tym bitym i praktycznym postępuje gościńcem, z niemałą, jak się zdaje, dla nauk korzyścią. Łatwo byłoby okazać, jak tutaj na łonie rozmaitych naukowych instytutów najważniejsze rozwięzują się problemata, w celu zaradzenia jakowéj towarzyskiéj potrzebie, i jak codziennie różne rozdziały w fizyce i chemii uzupełniają się i doskonalą przez zastósowanie tych nauk do rzemiosł, rękodzielni. Że ta praktyczna dążność francuzka szkodliwy także wpływ mieć może, temu nikt zaprzeczyć nie zechce, rodzi bowiem najczęściéj miałkość i jednostronność.

Pod nazwiskiem Revue rozumie Francuz tygodniowe lub miesięczne czasopismo, obrabiające dla swéj praktycznéj dążności te same przedmioty, co i Żurnale, z tą tylko różnicą, że w nich artykuły w kształcie dość obszernéj rozprawy rozwinąć się mogą. Polityka, która i tu jest wszystko poruszającą sprężyną (Francuz i Anglik jest politykiem z urodzenia) nie występuje w Rewiewach tak jawnie, ale tylko za kulisami. Kiedy umieszczą przegląd z dziejów jakiego okresu z dawniejszych lub nowszych czasów, wyjaśnienie jakiego historycznego wypadku swego narodu, albo też obraz jakiego znakomitego politycznego charakteru; można być pewnym, że pod tą zewnętrzną skorupą ukryte jądro się mieści: są one niechybnie napisane na poparcie tego lub owego systematu, dla wskazania tego lub owego celu. Idee do takich rozpraw podają zwyczajnie znakomite osoby, używające w tym razie pisarzy za proste narzędzie.

Nauka atoli tylu rozlicznemi względami ścieśniona, utrudza prawdziwe pojęcie rzeczy i rzadko kiedy zjawisko jakie literackie z istoty natury ludzkiéj da się wytłómaczyć. Zmiany publicznego i prywatnego życia okazują się tu wszędzie jako przyczyny naukowych zjawisk, do niego więc wszystkie natchnienia geniuszów, wszystkie badania uczonych odnosić się zwykły. Wolny twór ducha, podług myśli Göthego, nie może się zmieścić w francuzkiéj głowie. Taki duch, odwieczne prawa świata, znajdują w francuzkich poetach tylko wyjątkowo miejsce. Kto u nich szuka sztuki w znaczeniu Szyllera, ten na próżno dzieła tak klassycznéj, jak i romantycznéj szkoły przerzuci. Lamartine, pobożny Lamartine, wszystkie swoje modlitwy odprawia przed zwierciadłem i budujące jego rozmyślania, które pisze o Bogu, podobne są do gestów staréj kobiety, namyślającéj się przy toalecie, jakie miny stroić będzie na nabożeństwie, na które się ubiera.

Myśli i uwagi pod względem wychowania publicznego niekiedy w tych pismach umieszczane, jako zastósowane

jedynie do obecności, bez względu na przeszłość lub przyszłość, rzadko zawierają jaki rozsądny projekt. Sztuka nabycia w jak najkrótszym czasie wszystkich potrzebnych wiadomości, których, jaki stan wymaga, zatrudnia nie jedno pióro. Tu usłyszysz pochwały lub nagany tego, o czem piszący najmniejszego nie ma wyobrażenia, i trudno pojąć, do jakiego stopnia posuwa się w tym względzie zarozumiałość i głupstwo ludzkie.

Religia i hierarchia kościelna zatrudnia także obecnie wiele piór, ale pierwszy rzut oka pokazuje, że te artykuły nie są napisane, ani przez teologów, ani filozofów. W podobnych bowiem rozprawach nie dostrzeżesz ani śladu pewnych stałych zasad: wszystko tu prawie jest czczą gadaniną.

Ale najśmieszniejsze są wykłady z ekonomii. — Ludzie, nie umiejący częstokroć jęczmienia od pszenicy rozeznać, robią plany do najśmielszych agronomicznych reform, i obwieszczają je krajowi w tonie, który tylko grubéj niewiadomości i bezczelnéj zarozumiałości może być udziałem.

W ogóle rozprawy w Rewiewach, pod względem doskonałości, nie dościgają wcale zręcznych gazeciarskich artykułów; nie mogą więc iść w porównanie z gruntownością niemiecką. Przestają one na tem, gdy o wszystkiem, o czem na posiedzeniach zwykle bywa mowa, szeroko, płynnie i przyjemnie się rozwodzą, niedbając bynajmniéj o to, czy przedmiot wyczerpnąć zdołają; albowiem nie idzie im o gruntowność, ale tylko o nastręczenie swoim czytelnikom obfitéj materyi do przyjemnego paplotania w świetnych posiedzeniach o jakim ulubionym przedmiocie. Jakoż nie raz zdarzyło mi się słyszyć zdania i sądy o romansach i dramach przez wyperfumowanych modnisiów słowo w słowo z Rewiewów bez zachłyśnienia tonem stanowczym powtarzane.

(D. A.)

Literatura krajowa.

P o e z y a.

Pieśń na zwaliskach.

(Improwizowana.)

Za cóż brzmieć żałobném pieniem,
Za cóż gonić cień za cieniem,
Za cóż płakać starych strat?
Czas już pozbyć wdowich szat!

Nic w przyrodzie nie zaginie,
Smierć i ród w jednéj godzinie:
Gdy umiera nowy cień,
Z szarych obslon wstaje dzień.

Gdzie się z ruin czas natrząsa,
Młody robak wesół pląsa:
Bo żyjątka rodzi trup,
Bo kolebkę rodzi grób.

Gdy swobody zejdzie rano,
Nowe ludy zmartwychwstaną,
I z grobowca podłych trzód
Wnet młodzieńczy błyśnie lud.

Więc przysiążmy na zwaliska
Życiem tchnąć w stare ogniska,
Snuć w przyszłości złote dnie,
A o przeszłość nie dbać, . . . nie!

1835. *G. E.*

Czerwona sukienka.

(Przez Czajkowskiego.)

(Dalszy ciąg.)

Postąpiłem krok naprzód: »Ojcze! błagam ciebie, pozwól, bo ja przysiągłem i przysięgam teraz, że Tomasz Jazłowiecki ożeni się z Pauliną Zagórską!« chciałem go wziąść za rękę i do nóg mu upaść, on mnie odtrącił: »Wyrodny synu, idź precz z moich oczu!« i rzucił się na krzesło; — oddaliłem się, powtarzając: ożenić się. — W kilka godzin przyszedł do mnie baron, mój szwagier już natenczas, całując mnie i ściskając, zaczął mi gadać nie o swojem szczęściu, ale o tém, jak to dobrze, mieć za pieniądze kochankę: »Mój Tomaszu, to najwygodniejszy sposób żenienia się, zła żona? bez rozwodu ją rzucasz, a bierzesz drugą; — słuchaj, po co tu gniewać ojca, kilka tysięcy dukatów, rzecz skończona, panna Zagórska twoją, ja na siebie rzecz biorę: ojciec nie będzie się gniewał.« — Jak wściekły się porwałem: »Przebrzydły łotrze!« i za drzwi go wypchnąłem; byłbym mu głowę roztrzaskał, sam przypadek zrządził inaczéj, — on za drzwiami jeszcze dodał: »Panie Tomaszu, uspokój się, ja zawsze gotowym na twoje usługi.« — Niegoniłem go, pogardziłem nim, i tą razą nieżałowałem mojego postępku, bo już stałem się samodzielnym.

Ojciec stronił od rozmowy ze mną, Paulina była dla mnie niewidzialną, siostra moja odpychała mnie od siebie swoim złośliwym dowcipem, a baron ruszał ramionami, widać litując się nademną, i z grzecznym uśmiechem oświadczył mi swoję przyjaźń; zapłaciwszy mu ją raz obelgą, daléj płaciłem pogardą. Postanowiwszy, czasem i moją stałością przezwyciężyć upór ojca, napisałem list do Pauliny i jéj matki, w którym powtórzyłem przyrzeczenie poślubienia drogiéj mi istoty, — i wyjechałem do Odessy. —Nudząc się na zabój w tem pięknem mieście, poznałem się z księciem Abas-Iszmilem, rodem z Kabardy, oficerem w rossyjskiéj służbie; na wzajem podobaliśmy się sobie z napół oświeconym Czerkiesem; ja mu opowiadałem moję miłość, opisywałem Paulinę, jéj

wdzięki, jéj cnoty, i on słuchał; — on mi prawił o swojéj ojczyznie, o kaukazkich górach, a ja słuchałem. — Na tym świecie słuchać czyjego opowiadania, jest to zaskarbiać jego dobre względy, — ale słuchać go, a twarzą i ruchami ciała okazywać, że nam przypada do serca, że go czujemy, jest to nieomylny sposób zawiązania przyjaźni; byliśmy przyjaciołmi z Czerkiesem Kabardyńcem. — We cztery tygodnie mojego pobytu w Odesie, odebrałem list od siostry, oznajmujący mi chorobę mojego ojca; pisała: »Twój upór, twój nierozsądek wtrąci naszego dobrego ojca do grobu.« — Pożegnałem mojego nowego przyjaciela, przysięgliśmy sobie wierną przyjaźń, i pojechałem do ojczystego domu. — Wróciłem, ale już za późno: ojciec mój nieżył; pięciu dniami przed moim powrotem umarł — i ostatnia jego wola względem mnie, ostatnie słowa pożegnania nieobecnego syna były: »przeklęstwo rzucam na Tomasza, jeśli swojem małżeństwem zrobi zakałę rodowi Jazłowieckich.« — Płakałem śmierci ojca, zapomniałem o tém, że on mnie nie kochał jak syna, tylko kochał jak Jazłowieckiego. Siostra i szwagier nadzwyczaj serdecznie byli ze mną. Ojciec umierając, przeznaczył dla mojéj siostry posag w gotowiźnie, z warunkiem stósownym do naszych praw, aby ten niebył wypłaconym, aż za okazaniem pewności na majątku barona, odpowiedzialnym posagowi, a że baron z owych kurlandzkich włości i zamków niemiał nic, a zatem mieszkaliśmy razem. — Zobaczyłem Paulinę, piękną, dobrą i tak mnie kochającą, jak dawniéj, niebyło przeszkody do naszego połączenia się, tylkośmy czekali końca żałoby. Siostra moja okazywała dla niéj wiele przyjaźni, a baron ciągle wychwalał jéj zalety, i cieszył się mojem przyszłem szczęściem — a ja już nie nadzieją, ale pewnością, sądziłem dobiegać kresu szczęścia.

Byliśmy w ówczas w pierwszych dniach Września, tysiąc ośmset jednastego roku. Już nie głucha, ale głośna wieść krążyła o nieodbitéj wojnie między Francyą a Rossyą; młodzież nasza ukradkiem opuszczała kraj, i biegła, zaciągać się do szeregów wojska księztwa Warszawskiego; ja przyznam się, choć to nie na moję zaletę, iż pomimo miłości, jaką czułem dla ojczyzny, nawykłem od dawna słyszeć, że Polska od Francyi nic się spodziewać niemoże, tylko nieszczęść, ubolewałem tedy nad tą nieszczęśliwą wojną, nad porywaniem się Polaków do oręża, a myślałem jedynie o mojem ożenieniu. Szczery i już teraz samodzielny, przed nikim nietaiłem mojego widzenia tych rzeczy, siostra i szwagier rozwozili skwapliwie to zdanie po sąsiedztwie, i jak się potem dowiedziałem, głosili i powiększali mój wstręt do wojskowości i moję obojętność dla ojczyzny. — Paulina ciągle usiłowała zmienić tok mojego sądu, i to było powodem częstych kłótni, i miłych pogodzeń się, ona mnie uniewinniała, bo widziała, że choć sąd był krzywym, jednak serce miałem miłujące ojczyznę. — Sąsiedzka młodzież obojętnie, zimno nawet obchodziła się ze mną, i ciągle ukrywała się z jakiemiś tajemnicami; chociaż z powodu mego ojca nigdy nieżyłem z tą młodzieżą, jednak obojętność, z jaką mnie przyjmowano, była przykrą, boleśną nawet dla mnie; — tajemnic zaś nieusiłowałem przeniknąć, niedbałem o nie. — Właśnie w tymże samym czasie, zjawił się u hrabiny Dzieduszyckiéj młody człowiek, okazałéj postawy i dość przystojnéj urody, nazywano go Władysławem Boskim. — Wszystkie jego czyny otaczano mgłą tajemniczości, szczególniéj przedemną. Paulina często przesiadywała u Pani Dzieduszyckiéj, i dla tego też i ja tam bywałem; ten pan Władysław nadzwyczajnie dumno ze mną się obchodził, a nawet do téj dumy mieszał jakiś rodzaj pogardy, przeciwnie zaś z moim szwagrem był grzeczny i uprzejmy. Kilka razy z tym tajemniczym, a nieznośnym dla mnie człowiekiem przemówiłem się, i chciałem rozprawiać się żelazem albo ołowiem; ale Paulina, która bez powiedzenia zgadywała to moje postanowienie, na klęczkach mnie odwodziła od niego. Łatwo sobie tłómaczyłem to postępowanie Pauliny, znając jéj zapał przywiązania dla ojczyzny, a wiedząc o tem, że ten Władysław jest jakimś wysłannikiem z księztwa Warszawskiego. — Dnia jednego siostra, która mi okazywała czułe przywiązanie od śmierci ojca, przyszła do mnie, wzięła mnie za rękę, spostrzegłem łzy w jéj oku: »Tomaszu, biedny ty jesteś!« — »Moja luba, dla czegoż mam być biednym?« — »Ja ci nieśmiem powiedzieć twojego nieszczęścia.« — »Mów, cóż, mają mnie za złego Polaka?« — »Oh, nie to.« — »Czyż ten pan Władysław na mnie co nagadał?« — »Oh nie .... ten pan Władysław ....« zatrzymała się. — »Mów, na miłość Boga.« — »Ty chcesz: ... ten pan Władysław kocha Paulinę.« — »I cóż dziwnego, Paulina taka ładna, taka dobra.« — »Ale Paulina kocha pana Władysława.« — »To być niemoże!« skoczyłem jak piorunem rażony, jak szalony biegałem po pokoju: »to potwarz! to kłamstwo! to być niemoże!« zmógłem się i rzuciłem się na sofę; siostra siadła koło mnie, całowała mnie i okrywała pieszczotami: »Uspokoj się Tomaszu, tyś sam tego chciał, gdyby nie twoja przyszłość, nigdybym ci tego niepowiedziała.« — «Jakto,« zawołałem »ty jeszcze to utrzymujesz i możesz że o tem mnie przekonać.« — »Mogę, tylko mi przyrzecz, że nienarobisz hałasu w domu pani Dzieduszyckiéj.« — »Przyrzekam.« — »Przysięgniesz że mi na miłość matki?« — »Przysięgam ci na miłość

matki, zrobię co zechcesz, tylko mnie przekonaj.« — Smutnie wstrząsnęła głową, »przekonam, bo od tego zależy twoje szczęście, twój przyszły los; zaczekaj tu na mnie;« i wyszła. Oh, wystawić sobie niemożecie, co się ze mną działo: zazdrość mnie paliła ogniem piekła, wstyd mnie rumienił posądzać ją, anioła mojego serca; miłość własna dręczyła się srogą obrazą, a szlachetność duszy brzydziła się nieufnością; jednak jakiś promyk nadziei przychodził mi na pomoc, i szeptał: to wszystko nie prawda. Wahałem się, czy mam przekonać, czy odrzucać podejrzenie, jako niegodne mnie, gdy weszła siostra: »wstań, chodź! tylko na pamięć naszéj matki ciebie zaklinam, nierób żadnego hałasu.« — Wstałem i szedłem za nią; oh, ledwie z takim strachem, z taką boleścią idzie na rusztowanie przestępca wskazany na śmierć; z jaką ja niosłem moje serce na rusztowanie, trzymałem się sukni mojéj siostry, jak się trzyma potępieniec ludzki szaty swojego spowiednika, jakby się trzymał szaty swojego kata nawet; dała mi znak, abyśmy szli na palcach i cicho, i jakeśmy podeszli pode drzwi pokoju, gdzie mieszkał pan Władysław — zbliżam oko do szpary — pan Władysław na krzesle, Paulina u niego na kolanach, on ją całuje, pieści jéj jasny włos; — pociemniało mi w oczach, odszedłem od siebie — chciałem drzwi rozsadzić — krzyknąłem i padłem na posadzkę! — Jak przez sen usłyszałem odmykające się drzwi, i głos tego Władysława: »to niegodnie! kto złym Polakiem, może być i szpiegiem!« — Porwałem się, Władysław wyszedł, mówiąc: »Paulino, bądź zdrowa, milczenie. — Chciałem biedz za nim, zabić go, — ale wiarołomna stanęła przedemną: »Tomaszu!« — ja ją odepchnąłem: »precz odemnie, zdradliwa niewiasto!« — W tym wbiegli moja siostra i mój szwagier, moja siostra wyprowadziła prawie gwałtem do drugiego pokoju płaczącą Paulinę, i powtarzającą we łkaniach: »Tomaszu! Tomaszu!« — Ja, jak w konwulsyach, rzuciłem się w objęcie barona — a kiedym przyszedł do siebie, z rozpaczy zaśmiałem się po szatańsku i zawołałem: »jedźmy, szukać tego Władysława!« i mój szwagier powtórzył: »jedźmy! mój powóz gotowy, Katarzyna przyjedzie w twoim.« — Bez pożegnania pojechaliśmy; — miałem przekonanie o zdradzie kochanki, czyż trzeba było więcéj? — wiarołomna! — a bałem się jednak ją kląć, i czułem, że ją kocham namiętniéj, jak kiedykolwiekbądź. — W drodze naprzód baron mi powiedział, że napróżno szukalibyśmy pana Boskiego, bo już zapewne się niepokaże więcéj — a potem dodał: »mój Tomaszu, wiesz, jak te Polki szaleją z miłości dla ojczyzny, ty niechcesz żadnego udziału mieć w téj wojnie i dobrze robisz; ten pan Władysław, jak powiadają, oficer polskiego wojska: cóż dziwnego, że Paulina młoda, namiętnéj wyobraźni, nieustalonego serca, pokochała pana Władysława bohatera; kobiety kochają i uwielbiają bohaterów. Ja Kurlandczyk, a nie Polak, a kto wie, czy nie pojdę do polskiego wojska, jak Napoleon wkroczy w nasze strony: i Katarzyna Polka, a te wasze Polki do dziwne czarodziejki.« — Te słowa barona otworzyły mi oczy, błogosławiłbym im, gdybym mógł w ówczas błogosławić czemukolwiekbądź; postanowiłem w myśli: pojadę do wojska, stanę się bohaterem, niech mnie przynajmniéj żałuje wiarołomna — i czegoż miałbym w ziemi rodzinnéj zostawać? przed oczyma, przed myślą mieć ciągle obraz zdradliwéj kochanki, oddychać tém powietrzem, którem ona oddycha; — o nie! — lepiéj zginę, wszystko skończę i powiedzą ludzie: szkoda, dobry był Polak, — a ona może zapłacze, i wymówi: on był godzien miłości, zginął za ojczyznę!

Wieczorem za przyjazdem mojéj siostry oświadczyłem, że już nie pana Boskiego szukać, ale chcę jechać do Warszawy i zaciągnąć się do wojska. — Siostra płakała, baron usiłował mnie odwrócić od powziętego zamiaru; ja to brałem za szczere przywiązanie ku mnie, i szczerze im byłem wdzięcznym, bo miło widzieć w nieszczęściu, że są ludzie, co nas kochają. — Oświadczyłem ostatecznie, iż nic niezmieni mojego przedsięwzięcia; natenczas siostra ze szwagrem zaczęli radzić o ocaleniu majątku; miałem wprawdzie chęć widzenia, choć raz, Pauliny, ale wstydziłem się nietylko to uczynić, ale nawet mówić o tém, a tak z rozpaczą w sercu, co spiesznéj wyjechaliśmy do Kamieńca. Tam za pomocą złota metrykę moję podskrobano, i dano mi pełnoletniość dwudziestu czterech lat, sporządzono akt sprzedaży wszystkich moich dóbr przezemnie na rzecz barona Ajdenbauma, znaleziono świadków, którzy podpisali, iż byli przytomnemi wypłacie pieniędzy, i ja wprost ztamtąd pojechałem przez Galicyą do księstwa warszawskiego.

W parę miesięcy już byłem w mundurze ułańskim piętnastego pułka ułanów, — a w roku tysiąc ośmset dwunastym, pod Mirem ranny kilka razy, straciwszy konia, dostałem się w rossyjską niewolę; zaprowadzono mnie z wielu innymi jeńcami do Nowo-Czerkaska, a ztamtąd odesłanymi zostaliśmy do Gruzii, do miasta stołecznego Tyflis. — Przez cały ten przeciąg czasu ani razu nieopuściła mnie myśl o wiarołomnéj Paulinie; jak cień za osobą, tak jéj obraz gonił za wzrokiem mojéj duszy. W wojsku szukałem tego przeklętego Władysława Boskiego, i nigdzie go znaleść niemogłem, pytać zaś o niego nie miałem serca, a co więcéj od wszystkich dawnych znajomych stroniłem, bo mi się zdawało, że każdy zna moje nieszczęście, i będzie gadał o niem.

Wolałem cierpieć w milczeniu, samemu sobie co minuta, co sekunda przypominać wiarołomną, i moję miłość dla niéj, byleby ludzie nic mi nieprzypominali.

Schorzały, zbiedzony, bosy, półnagi siedziałem z innymi jeńcami w Tyfliskiéj twierdzy, smutno dumając o przeszłości, o przyszłości, ani myśląc wcale, — kiedy wszedł jakiś rossyjski oficer od jazdy, bo z ostrogami i pałaszem, — zdawało mi się, że gdzieś go znam, przypatruję się — to on, to Abas-Iszmil, mój przyjaciel z Odessy; niechciałem jednak, a raczéj wstydziłem się go powitać. On przechodził między jeńcami, i przeglądał okiem, jakby kogoś szukał, zbliżył się ku mnie, widziałem to w jego oczach, że mnie poznał; ale dał znak, żebym ja tego nieokazywał. Zawołał oficera garnizonu, który nad nami miał straż, i przy nim mnie zapytał: »czy ty oficer, czy żołnierz? — ja mu odpowiedziałem: »żołnierz.« — »Chcesz do mnie przystać na służbę?— »chcę« ; obrócił się do oficera garnizonu: »Jenerał pozwolił, abym wybrał jednego Polaka na służbę do siebie, ja tego biorę« — dodał do mnie: »pójdź za mną.« Oficer garnizonu jakąś grzeczność powiedział Kabardyńskiemu księciu, a ja wyszedłem za moim panem. — Skorośmy weszli do mieszkania Abas-Iszmila, — on rzucił się w moje ramiona, i ściskał mnie: »Jazłowiecki, szczęśliwy jestem, że cię wybawiłem z nieszczęścia, dzisiejszéj nocy musisz ztąd wyjeżdżać!« — »A to dla czego?« — »Rozkaz jest u jenerała, aby kilkunastu z was wysłać na Sibir, między nimi ty jesteś pierwszy na spisie, czytałem rozkaz i dowiedziałem się, że tu jesteś. Jenerał, ożeniony z moją ciotką, pozwolił mi, jednego Polaka wybrać na służbę, chodź, tu u mnie jest twój ziomek, reszty od niego się dowiesz,« — i wprowadził mnie do drugiego pokoju — i kogoż tam zobaczyłem? — przecieram oczy, niechcę im wierzyć — to ten przeklęty Władysław Boski, — chciałem na niego się rzucić i zabić go pięściami. — Abas-Iszmil osłupiały patrzył na wyraz méj twarzy; Władysław zbliżył się ku mnie: »Panie Jazłowiecki, mnie niedziwi twoje oburzenie, ale wiedz o tém, że ja jestem Władysław Zagórski, brat rodzony Pauliny Zagórskiéj, twojéj narzeczonéj.« Oburzenie się moje zamieniło się na dziecinną radość, rzuciłem mu się na szyję i płakałem z radości; — »oh! ja wszystko ci przebaczam — wiele złego zrobiliście i mojemu i jéj sercu — ona mnie kochała, ona mi wierną była.« — »I kochała i kocha, i wierną była i wierną będzie, żeś nic niewiedział, kto ja jestem, nie moja w tem ani Pauliny wina, ale wina twojéj siostry i twojego szwagra: oni to nam ciebie wystawiali, jako człowieka słabego, a nawet niebezpiecznego, któryby wszystko mógł wykryć rządowi. Paulina chciała ci wszystko powiedzieć, ale moje zaklęcia ją od tego wstrzymały, w ostatniéj chwili twoja siostra siłą jéj tego wzbroniła. Kiedyś ty wyjechał, twój szwagier przestał udawać przyjaciela Polski, na jego to doniesienie ja i wielu innych zatrzymanymi i odesłanymi i ciebie dziś szukają.« Boleśnie mi było słuchać to wszystko o mojéj siostrze i o niegodziwym człowieku, który się stał jéj mężem, — ale słodko przytem było dowiadywać się o wierze, o miłości ubóstwianéj przezemnie kochanki. O Paulinie rozmawialiśmy z Władysławem i cieszyliśmy się nadzieją, że kiedyś zobaczymy dniestrowe brzegi. — Wieczorem przyszedł Abas-Iszmil: »trzeba jechać i to zaraz, mogą wyśledzić; a tak powiem, że mój sługa zbiegł, masz konia i przewodnika przed wrotami, a oto suknie;« dostał mi cały przybór czerkieski. — Przebrałem się, ucałowałem moich najlepszych przyjaciół, i pojechałem w moję podróż, dumając nie o tem, co się ze mną stanie, za kilka godzin, za kilka dni, ale o dalekiéj i niepewnéj przyszłości, o chwili, kiedy zobaczę Paulinę.

Nie będę wam opowiadał, ile niebezpieczeństw przebyłem, żeby przebyć Terek i dostać się do Czerkiesów Czeczeńców. Ci dzicy ludzie wojny, niepytali mnie o ród, o imie, tylko zapytali, czy mam serce odważne do boju, silne ramie do cięcia, bystre oko do wyśledzenia wroga, czatkie ucho do zasłyszenia zbliżającego się niebezpieczeństwa i krzepkie ciało do trudów, — a po pierwszéj probie, że wszystko to mam, przyjęli mnie za swojego brata. Wypadałem z nimi na wyprawy między błogie gruzyjskie sioła, i na bogate Dagestanu równiny, drapaliśmy się po Karabagskich górach, a wybieglszy na płaszczyznę Erywanu, nieraz szłyszeliśmy dzwony Eczmelzyńskiego Monasteru; Armianin płacił nam haracz, a przepławiwszy wody Araxu, uganialiśmy, jak dla zabawki pierzchających Kurdów; nieraz z Lesgami poiliśmy konie w nurtach Kaspijskiego morza, albo z Awaryńcami nieśliśmy popłoch i śmierć Derbeńskiéj załodze; — nieoraliśmy, niesieliśmy, aleśmy pełno zbierali złota i dostatków. Nie wiedzieliśmy, gdzie będziemy nocować, gdzie i jak jutro przepędzimy, ale tośmy wiedzieli, że nie gnuśnie strawimy nasz dzień, nie smutnie naszę noc; było coś powabnego, coś rozkosznego w tem na pół rycerskiem, na pół rozbojniczem życiu. Zwłaszcza dla człowieka, którego uczucia grały namiętnie. Moje uczucia grały namiętnie, bo kochałem, nie mogłem ich zużyć w miłości, zużywałem je w wojennéj sławie; w mojéj dumie, w zachwycie mojego zapału, zdało mi się, że kochanka na to wszystko patrzy, i czeka z nagrodą dla mnie, za moje czyny wojenne. Bracia Czeczeńcy mnie nagrodzili, bo nadali mi nazwisko Arstan-Hana, co znaczy w ich języku lwa władzcy; u nich nauczyłem się

walczyć, jak lew, a serce moje oddawna umiało po lwiemu przebaczać.

Dnia jednego, kiedym jak najmniéj się tego spodziewał, Kabardyniec jakiś przyniósł kartkę do mnie Arstan-Hana; — otwieram, czytam: »Ja wyjeżdżam z Władysławem, będę widział twój kraj, cesarz łaskawy przebaczył wszystkim, ułaskawienie bez żadnego wyjątku. Udaj się do jenerała, mojego wuja, on ci da paszport, przyobiecał mi to, a razem zachowaj wieczne milczenie o tem, coś porabiał między Czeczeńcami; może się zobaczymy, a jeśli nie, bądź takim moim przyjacielem, jak ja jestem i będę zawsze twoim. — Abas-Iszmil.« — Władysław się przypisał: »Zobaczymy się, Tomaszu, zobaczy ciebie Paulina, będziecie szczęśliwi, tego gorąco pragnie winowajca względem ciebie. Władysław.« — Już miesiąc przeszedł, jak ten list był pisanym. Oświadczyłem moje szczęście wojennym braciom Czeczeńcom, oni się zasmucili; żegnałem ich i oni kolejno mnie żegnali, i wszyscy razem mówili: »jak ci będzie źle, wracaj między nas: wprzody stopnieje śnieg na Elbrouzu szczycie, nim w naszych sercach braterstwo dla ciebie wygaśnie; niech Terek dla ciebie niebędzie morzem, bo nasza przyjaźń zawsze ci psem wiernym zostanie. Arstan-Hanie, niechaj Ałłah osypie ciebie górą szczęścia, rozkoszy i dostatków.« — Na tym samym złotogniadym koniu, jak ptak rączym, kipiącym jak ukrop, na którym wszystkie wyprawy robiłem, przepłynąłem Terek, i jechałem do Tyflisu; często się ozierałem na śniegowe grzywy Elbrouzu, i na ciemne gaje jedliny i sośniny czepiające się po stromych górach, żal mi było Czeczeńców, ale miłość dla Pauliny ciągnęła mnie do rodzinnéj ziemi.

W Tyflisie jenerał, wuj Abas-Iszmila, przyjął mnie z całą dobrocią, i smutnie oświadczył, że już wiedzą w Petersburgu o mojem znajdywaniu się między Czeczeńcami, kazano mnie nawet imać, jako zbiega, przestępcę: ale on dał mi paszport, jako Kabardyńcowi jadącemu do Berdyczowa na jarmark, dodał: »w domu łatwiéj będzie ci się starać o przebaczenie, cesarz dobry, łaskawy, umie zapominać.« — Konno tedy pojechałem; długo, długo jak wiek trwała dla mnie ta podróż; dla mnie, któryby chciał lotem ptaka, przeskrzydłować ten szeroki obszar. — Nareście przepławiłem się przez Dniepr i zbliżałem się ku Dniestrowym brzegom.

Chciałem wprost jechać do Jampolu, ale jakaś niepojęta siła ciągnęła mnie do rodzinnego domu, — niemogłem się jéj oprzeć. Wjeżdżam do wioski, chaty wrząd pobudowane, poprzystrajane jednakowo, jak żołnierze, a koło nich widać nędzę i ubóstwo; co tu za zmiany! dom moich rodziców, zupełnie przeistoczony, w ogrodzie powycinane szpalery; — dziedziniec ani poznać: jacyś obcy ludzie po nim się snują, ani jednéj znajoméj twarzy. Zsiadłem z konia, jakiś człowiek w łachmanach patrzy na mnie, i chart z na pół oblazłą szercią przybiegł do mnie się łasić; chart, to mój Dolot; — człowiek w łachmanach, to Grzegorz. Łzawo mi w oku: »Dolocie, mój Dolocie,« i głaskałem psa; »mój Grzegorzu, jak się masz?« — on ciągle patrzył na mnie: »Paniczu! to pan Tomasz!« i rzucił mi się do nóg, — podnoszę go, i całuję w czoło: »Grzegorzu, Bóg z tobą, co ci jest? czegoś tak nędznie przybrany?« — »Ja kuchennym stróżem na starość!« i jak bóbr zaczął płakać. — »Grzegorzu, przestań, — gdzie jest moja siostra?« on wskazał ręką na dwór, potrząsł głową i nic nie odpowiedział. — Biegnę raczéj, nie idę do dworu, rozpycham zgraję służalców, co mi zachodzi drogę, niesłucham, co oni mówią; przechodzę kilka pokojów i wchodzę do bawialnéj komnaty, tam znajduję moję siostrę i szwagra, oboje siedzieli na kanapie; nie dzieci, ale pieski koło nich igrały: Bóg ich niepobłogosławił dziećmi. — Na mój widok porwali się z miejsca, poczerwienieli, pobladli, — widać, że mnie poznali. Ja stanąłem: »Moja siostro!« i ona chciała ku mnie postąpić; krew mówiła do krwi, choć może uczucie milczało — ale on ją cofnął ręką i zawołał: »Kto ty jesteś? pani baronowa nie ma brata!« — »Pani baronowa nie, ale Katarzyna Jazłowiecka ma brata: ja jestem Tomasz Jazłowiecki! — i gwałtownym ruchem odchyliłem burkę i widać, że mignął mój attagan; nikczemnik zadrżał, jak w febrze, i dzwoniąc zębami o zęby wymówił: »Nieszczęśliwy! uciekaj! Jazłowieckiego Tomasza szukają.« — »Nieucieknę, niech przyjdą i tu mnie wezmą!«

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd pism.

Wizerunki i Roztrząsania naukowe. Poczet nowy drugi. I. Wilno 1838.

(Dokończenie.)

Obok tak ważnych i tak stanowczych dla nauk i cierpiącéj ludzkości zatrudnień od roku 1800. do 1816., rozmyślanie i praca we wszelkich gałęziach umiejętności fizycznych i lekarskich, były ciągłym żywiołem potężnego gieniuszu Jędrzeja Śniadeckiego. Podbudzał on nieprzerwanie wrodzoną działalność jego, poświęcając wszystkie chwile, których mu świat użyć dla siebie samego pozwolił, czytaniu i nieustannemu ćwiczeniu się w obranym przedmiocie, bo dalekim był od mniemania, żeby za osiągnieniem godności nauczycielskiéj ustawała potrzeba ciągłego doskonalenia się i czynienia postępów w naukach. Owszem gorliwość jego do swego powołania rosła, w miarę wzrostu głośnéj jego sławy. Szczęśliwy tego męża umysł ogarniał łatwo całe pasmo nauk, którym się poświęcił i wynalazków, którémi je Europa zbogacała. Z jego to natchnienia i pracą jego wspólnie z ucze-

nym Grodkiem i znamienitym naturalistą naszym Jundzillem, ukazało się w roku 1805. pierwsze w Wilnie pismo peryodyczne naukowe: **Dziennik Wileński.** Materye w nim umieszczone mniéj więcéj popularnie pisane, oswajać zaczęły prowincye nasze z najważniejszemi umiejętnościami, jakiemi się wtenczas Europa zatrudniała. Jędrzej Śniadecki zajmującym sposobem wyłożył wtenczas ciekawy systemat Galla, w całéj rozciągłości, a między wielą innemi wybornemi rozprawami, ta którą napisał: **O fizycznem wychowaniu dzieci**, czytana z ciekawością od tych nawet, co nie zwykli byli trudnić się czytaniem, a z wdzięcznością od matek, zaświadcza o jego wielkim talencie obserwacyi i o wielkiém doświadczeniu w najwalniejszym dla dobra ludzkości przedmiocie. Nie przestając na takich pracach literackich, które tylko były dlań rozrywką po daleko cięższych publicznego nauczycielstwa trudach, ogłosił, w potrojném wydaniu, swoje: **Początki chemii**, tyłą zaletami jaśniejące i stał się ojcem nomenklatury chemicznéj w języku polskim. Uderzający wykład nowéj teoryi rozpuszczenia, położenie pierwszych zasad chemii, jako pewnéj nauki, a w ogólności styl wzorowy, jasność jego i trafność pomysłów, podniosły tę książkę wysoko w opinii wszystkich czytelników i dobrodziejstwem stały się dla uczniów. Odnowiony **Dziennik Wileński** w r. 1815. ozdobił się także kilku ważnemi rozprawami w przedmiotach chemicznych i medycznych tego wielkiego pisarza, tak, jak późniéj w **Pamiętniku lekarskim Wileńskim** wiele materyi tyczących się saméj tylko medycyny, z właściwą mu biegłością roztrząsanych nie raz było i pięknym jego stylem oddanych. Ale już w téj epoce, kiedy i nauka lekarska pociągnęła ku sobie pióro Jędrzeja Śniadeckiego, stał ten wielki praktyk oddawna na wysokim szczeblu sławy literackiéj. Wydał on w r. 1804. w Warszawie dzieło, które postawiło go od razu w rzędzie najznakomitszych fizyologów i w całéj Europie imię jego głośném uczyniło. **Teorya Jestestw organicznych** będzie wiekopomnym utworem bogatego w genialne pomysły rozumu sławnego męża, którego strata dziś tak boleśnie nas dotyka. Dzieło to natychmiast po ukazaniu się swojém na język niemiecki wytłumaczone, przeszło potém, na bardzo dobrym przekładzie, do literatury francuzkiéj, pracą PP. Ballard i Decaix, którzy nie tylko język, z jakiego tłumaczyli, w kraju naszym, ale i samego autora osobiście poznali, rozum i przymioty jego ocenić łatwo potrafili. Przemowa do ich francuzkiego tłumaczenia **Teoryi Jestestw organicznych**, zawsze będzie świadczyła o uczuciach, jakie uczeni cudzoziemcy, tu kiedykolwiek przebywający, powzięli i zachowali dla Jędrzeja Śniadeckiego.

Przez cały ciąg tak zaszczytnego zawodu, wśród dni i lat przepędzanych ustawicznie, albo na oświecaniu i ćwiczeniu w głębokich i pożytecznych prawdach, młodocianych umysłów, albo na ratowaniu, nie mówię osób chorobami uciśnionych, ale rodzin całych rozpaczą i bojaźnią przejętych; wśród takiego pasma zacnych i błogich uczynków, znalazły się chwile poświęcane innym nawet rodzajom literatury. Pamiętne są jego pisma żartobliwe w głośnych tu niegdyś **Brukowych Wiadomościach** umieszczane, najdelikatniejszą satyrą oznaczone, nikogo wyłącznie nie dotykającą, ale ku naprawie całéj społeczności skierowaną. Mało jest takich, którzyby jednozgodnie nieprzyznali, jak wielki, jak zbawienny, pod względem obyczajowym na całą prowincyą naszę wpływ wywierało owo pismo ulotne i towarzystwo literackie, co je pisało. Sami tylko nieświadomi spraw i stanu społecznego w owym czasie, lub mierzący zdanie swoje podług teraźniejszych widoków, bez względu na stopień cywilizacyi, jaka była u nas dwudziestą laty wprzódy, zaprzeczać mogą téj prawdzie. A jeżeli znaczna część artykułów w niém ogłaszanych, spółczesny i stósowny do okoliczności wzbudzając tylko interes, nie zostawiła po sobie prawdziwéj wartości naukowéj, z drugiéj strony, znany dowcip Jędrzeja Śniadeckiego obszerne znalazł pole okazania całéj swojéj mocy i wdzięku. Pisma jego wyższe może nad epokę czasu, któréj je poświęcił, zajęły na zawsze wysokie miejsce w żartobliwym rodzaju literatury naszéj i nowych laurów sławie jego autorskiéj przyczyniły. Długo byłoby wyliczać, prócz tego, wszystkie insze pomniejsze pisma i rozprawy w przedmiotach fizycznych i lekarskich, po różnych dziennikach krajowych umieszczane, gdzie ten głęboko myślący lekarz, filozof, w małéj objętości rzucał nieraz najnowsze oryginalne pomysły i gruntowne rozumowania. Bo ani wątpić nie wypada, że jeżli nie obcy to krajowi lekarze i fizyologowie, godnie potrafią ocenić wielkie przymioty i pospieszą oddać hołd zasługom, jakie Jędrzej Śniadecki pod względem medycznym, w praktyce i pismach swoich dla kraju położył.

Zmordowany wieloletniemi pracami wziął był uwolnienie ze służby publicznéj dnia 4. Czerwca 1822., jako professor emeryt uniwerzytetu. Lecz zaledwo mógł spocząć dwa lata, już głos publiczny i nalegania zwierzchności edukacyjnéj wezwały go na zawakowaną katedrę kliniki, któréj już aż do zgonu nie opuścił. Tu dopiero otworzył mu się nowy zawód prowadzenia młodzieży poświęcającéj się naukom lekarskim drogą praktyki, któréj sam tyle i w tak wysokim stopniu posiadał, a bez któréj cała medycyna możeby była nie tylko płonną, ale i szkodliwą osnową wiadomości zawiłych i domysłowych. Pod sterem takiego nauczyciela, lekcye kliniczne ukształciły wzorowie wielką liczbę młodych lekarzy, przynoszących prawdziwy pożytek i zaszczyt krajowi, jednając szkole medycznéj wileńskiéj, oddawna już pod tym względem ocenionéj, coraz większy szacunek i sławę.

Zgon tego niezapomnianéj sławy i cnót męża, tego wielkiego doradzcy cierpiącéj ludzkości, nastąpił po długiéj chorobie w dniu 11. Maja r. b. 1838. w piątek o kwadransie na drugą po południu. Z nim zgasła pochodnia przyświecająca odrodzonéj na końcu wieku przeszłego cywilizacyi w Litwie, która dobroczynne światło rozlała między teraźniejszém pokoleniem. Cnoty domowe i towarzyskie Jędrzeja Śniadeckiego, jego tkliwe przywiązanie do dzieci i wnuków, jego czuła opieka dla swoich kmiotków, słodycz i uprzejmość w towarzystwie, połączone z nadzwyczajnym dowcipem, bez ubliżenia powadze lat i rozumu, równie go zalecały jak cnoty publiczne. Obok takich przymiotów, zacnym i spokojnym ludziom właściwych, miał wielki charakter, jasną i mocną głowę, a razem z niemi rzadką i niezłomną prawość: trzy główne cechy znamienujące niepospolitego człowieka, którego życie ma służyć za wzór do naśladowania, a pamięć w późnéj potomności ma być zachowaną. Żal powszechny i cześć zwłokom tego męża, w dniu 13. Maja, przy wniesieniu ich z domu do kościoła, a nazajutrz podczas nabożeństwa i wywiezienia do wsi dziedzicznéj, oddana, przez kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców miasta i przybyłych z prowincyi, zaświadczą aż nadto, o prawdzie tego wszystkiego, cośmy o tak pięknem życiu powiedzieć zdolali. Dzień jego pogrzebu rzeczywiście był dniem powszechnéj żałoby; wszyscy odbiegli byli swoich zwykłych codziennych zatrudnień, wszyscy się hurmem tłoczyli do świątyni pańskiéj na żałobne za duszę jego nabożeństwo; nieprzeliczone tłumy różnego stanu ludu zwłokom jego daleko za miasto niesionym towarzyszyły. Powrócił każdy ze łzami w oczach, powtarzając: »niemasz Śniadeckiego!« Wspomnienie to wielu rodzinom, długo, długo, po nim łzy szczerego żalu wyciskać będzie. Jędrzej Śniadecki bowiem dotrzymał tego, co sobie założył w godle wybraném z Kochanowskiego, na czele **Teoryi Jestestw organicznych**: służył poczciwéj sławie jak mógł najzdolniéj i do dobra wspólnego najwięcéj się przyłożył.«

Korrespondencya.

List Słowaka węgierskiego do redakcyi Tygodn. liter.

(W oryginale polskim.)

Pożądałem bardzo, znając już więcéj czasopism polskich, poznać i Tygodnik literacki w Poznaniu wychadzający, a to tém więcéj, że powieść o niém po ziemiach Sławiańskich krążąca, jego sławę tylko głosiła. Skwapliwie więc pochwyciłem, gdy mi się udało dostać do ręku, czasopismo Wasze i przeczytałem wszystkie artykuły. Wieść mię nie zawiodła: przekonany jestem, iż czasopismo Wasze mając na celu szerzenie oświaty, a szczególnie zlepszenie domowéj

krytyki, zaszczytnie dąży do swojego celu. Dobrze obrane artykuły są: o obcych literaturach, o wsławionych mężach; piękne artykuły są n. p. w pierwszych numerach: o zasługach prowincyi kraju Waszego w oświecie ojczystéj; o współczesnych kompozytorach polskich; Szymon Starowolski; wyjątki z autobiografii Wybickiego; narodowa powieść o dwunastu rozbójnikach i t. d., uprzejma tkliwego serca poezya do bociana. Lecz jaką radością natchnięty byłem, widząc, że w czasopiśmie Waszém za przykładem »Sławianina« i »Pamiętnika naukowego Krakowskiego« nawet łaska pobratymska, miłość wzajemna Sławiańska się odzywa i szlachetne Wasze uczucia k' pobratymcom rozległéj Sławiańszczyzny tłumaczy. Radość moja do wysokiego się posunęła stopnia, gdym ujrzał w czasopismie ważny list z Berlina o rzeźbiarstwie umieszczony, dokładny artykuł o ruchu i kierunku Nowoczeskiéj literatury, daléj obronę Sławian przeciw ich brzydkiemu nieprzyjacielowi H......, a nakoniec ważny a zaiste czułą Sławiańską duszą nacechowany artykuł, opowiadający uroczystość śpiewek Słowaków i Serbów. Ja Słowak jestem, dom mój niedostępne góry i doliny karpackie, w których się, jak referent prawdziwie uważa, starożytne obyczaje, zwyczaje, igrzyska, powiastki, tradycye, przysłowia i inne drogie skarby narodowości, a szczególniéj pieśni w czystości nieskalane obcym wpływem przechowały. Prawda jest, tego wszystkiego u nas w obfitości. Słowak śpiewa hymny do Boga, nóci pieśni na cześć bohatyrów zgasłych wieków, rozpowiada w smętnych dumach i słodzi ucisk, którego jego dawno upłynione bohatyrskie wieki niedoznały. Aby Wam dać poznać charakter, przebijający się w śpiewkach Sławiańskich pod Karpatami, przesyłam Wam dwie pieśni, jednę sięgającą bohatyrskich wieków, w których państwo W. Morawskie na teatrze dziejów potężnie z głównemi miastami Welegrodem i Nitrą błysnęło, ale niestety dla niezgody synów potężnego Swiętopełka do grobu tém prędzéj zstąpiło, że gruby naród Madziarów, których Wy zwyczajnie Węgrami nazywacie, do pięknych naszych ojczystych okolic właśnie w czasie niezgody ojców naszych przyciągnął, a na łagodnego ducha ludu Sławiańskiego, który już obrządek chrześciański od Apostołów Methoda i Cyrilla przyjął był, a tém samém wielką epokę w dziejach gotował, wpływ wywarł barbarzyński; druga piosenka jest duma uciśnionego ludu pospolitego. Melodya obudwóch tych pieśni jest bolejąca, głęboko do serca przemawiająca. Przesyłam je w oryginale da tego, że język nasz pobratymcom Polakom bardzo łatwo jest zrozumieć. I w naszych czasopismach często się nachadzają zupełnie polskie baśni (poezye), które lud nasz bardzo lubi czytać: przyjmijcie więc i Wy wzajemnie od nas do czasopism Waszych coś Słowackiego (lepiéj Słoweńskiego): wszystko jest Sławiańskie!

I.

Nitra milá Nitra, Ty wysoka Nitra,
Kdie že sú te czasy, W kterych si ty kwitła.

Nitra milá Nitra, Ty Slowenská mati,
Co pozrem (*a*) na tebe, Musjm zaplakati.

Ty si byla niekdy Wszeckich krajin hlawa,
W kterych teczie (*b*) Dunaj, Wisla i Morawa.

Ty si byla sjdlo (*c*) Krála Swatopluka,
Ked (*d*) tu panowala Jeho mocná ruka.

Ty si byla swaté Miesto Methodowo,
Ked tu naszym otcom Kázal Božie slowo.

Teraz twoja sláwa W stjnu (*e*) skrytá ležj:
Tak se czasy menia, Tak tento swiet bieży!

a) Pozrem, spojrzę; *b*) teczie, toczy się; *c*) sjdlo, siedlisko; *d*) ked, kiedy; *e*) stjn, cieniu.

II.

Bože mój, Otce mój, Wszak je (*a*) ten swiet zmotany,
Co wystoji, co wystoji Chudobny poddany.

Každy ho sužuje (*b*) Platu (?) niepowysuje,
On si myslj že na wieky Panuje, panuje.

Wy páni zemani! (*c*) My sme wasi poddanj:
My budeme w czernéj ziemi srownanj, srownanj.

Jak sedlak (*d*) tak i pan Každy musj zemrjti,
Každy musj w czernéj zemi Uhnjti, uhnjti. (*e*)

To są ślady wielkości i poniżenia ludu naszego; a tę niedolę winniśmy Madziarom, którzy z przychodem swoim do żyznych i ślicznych naszych okolic zaprowadzili swój feudalizm a z nim niewolę nieznajomą ojcom naszym. Naród tento Madziarski do dziś jeszcze nie pogodził się ze Sławianami, jest on naszym odwiecznym nieprzyjacielem. Teraz na tém pracuje fanatyzm Madziarski, aby Sławianiom na Węgrach, w Kroacyi, w Sławonii wydarł ich narodowy język a przytłumił ducha Sławiańskiego, lecz zapewnie nie osiągnie swego celu, bo się duch narodowości Sławiańskiéj we wszystkich tych krajach co dzień bardziéj szerzy a rozkrzewia. Ale więcéj o tém w Waszém pismie, jeżeli miło będzie pobratymcom słyszeć głos o stanie braci swoich Karpackich i Naddunajskich.

a) Je, jest; *b*) sužuje, dręczy; *c*) zeman, szlachcic; *d*) sedlak, chłop. *e*) zgnić.

Doniesienia literackie.

Z Wilna donoszą: »Dnia 17. z. m. 1838. umarł w Wilnie Józef Zawadzki w 60m roku życia, właściciel księgarni i drukarni w témże mieście od lat 30tu kilku osiadły, najczynniejszy i najznakomitszy księgarz i wydawca dzieł polskich. Urodził się w Poznańskiém, z rodziców szlacheckiego stanu, lecz niezamożnych. Od pierwszéj młodości obrawszy sobie zawód księgarski, z szczupłych początków tak dalece rozwinął swój zakład przez wytrwałość, pracę i porządek, iż mierzyć się mógł z najpierwszymi księgarzami Francyi, Belgii i Niemiec. Józef Zawadzki wydał własnym nakładem przeszło 400 dzieł, a między niemi kilkadziesiąt wymagających znacznego kosztu i zachodu, jako to: Słowniki Bobrowskiego łacińsko-polski, Millera polsko-rossyjski, Litwińskiego polsko-łacińsko-francuzki. Dzieła bibliograficzne i historyczne, Chemią Fonberga, Kazania Falkowskiego, dzieła Jana i Andrzeja Sniadeckich, Słowackiego, Podróż Anacharzysa, Wizerunki naukowe z lat 1835. 1836. i 1837. Dał on pierwszy popęd pracom literackim w Wilnie, chętnie bowiem podejmując się wydawania dzieł, zachęcał autorów do pisania, a Publiczność do czytania. Popęd ten najsilniéj utrzymywał i ciągle ożywiał aż do ostatnich chwil życia. W przedsiębierstwach swoich tém się odznaczał i przez to zasłużył na wdzięczność i pamięć ziomków, iż nie ubiegając się za chwilowym zyskiem, nigdy nie spuszczał z uwagi dobra literatury i nauk. Był on także przez lat 27 głównym spólnikiem księgarni w Warszawie pod firmą Zawadzkiego i Węckiego, i jemu należy się część zasług, które położyła ta księgarnia przez wydanie wielu dzieł obszernych i użytecznych. W ostatnich miesiącach życia ś. p. Józef Zawadzki rozpoczął kilka ważnych i kosztownych przedsięwzięć, jako to: Bibliografią polską, Bibliotekę kaznodziejską i nowe wydanie Słownika Bobrowskiego. Przedsięwzięcia te zapewne uskutecznią synowie jego, których usposobił do wstępowania w swoje ślady. Osobiste przymioty umysłu i serca jednały ś. p. Zawadzkiemu w towarzystwie tyż samo poważanie i przyjaźń, na jakie zasługiwał w świecie handlowym przez swoją rzetelność, czynność i prawość.«

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 2 Talary półrocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Poczthamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*